NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 29 Katowice, 24-go lipca 1932

Na dziesiątą niedzielę po Swiątkach.

EWANGELJA

zapisana u św. Łukasza, rozdz. 18, w. 9—14.

W on czas: Powiedział Jezus do niektórych, co dufali, iż są sprawiedliwi, a pogardzali innymi, taką przypowieść: Dwóch ludzi weszło do świątyni na modlitwę: jeden faryzeusz, a drugi celnik. Faryzeusz, stojąc, tak się w duszy modlił: Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jako inni ludzie: drapieżcy, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, lub też jak ten oto celnik. Poszczę dwakroć w tygodniu; składam dziesięciny ze wszystkiego, co nabywam. Celnik zaś, zdaleka stanąwszy, nawet oczu nie chciał podnieść w niebo, ale bił się w piersi, mówiąc: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! — Powiadam wam, że ten odszedł do domu usprawiedliwiony, a nie tamten; albowiem każdy, kto się wywyższa, będzie poniżon, a kto się uniża, będzie wywyższon.

NAUKA.

„Dwóch ludzi weszło do świątyni na modlitwę.“

Dlaczego to do świątyni weszło tych dwóch ludzi? Czy nie mogliby oni równie dobrze pomodlić się w swoim domu?

Nie, gdyż domem modlitwy jest świątynia! Tu, w kościele całe urządzenie, wszystko, co widzimy i słyszymy, nastraja nas do modlitwy i ułatwia nam wzniesienie myśli ku Bogu. Dlatego nakazuje nam drugie przykazanie kościelne, abyśmy, przynajmniej raz w tydzień „weszli do świątyni na modlitwę“ i przynajmniej w niedzielę i święta wysłuchali pobożnie mszy świętej.

Kto sobie to przykazanie lekceważy i opuszcza niedzielną mszę św. bez słusznej przyczyny, niech wie, że popełnia grzech śmiertelny, wyrządza krzywdę Panu Bogu, społeczeństwu całemu i samemu sobie. Gorzko żali się Stwórca przez usta proroka Ageusza: „Wyście mnie opuścili, dlatego przykazałem niebu, aby ani kropla rosy nie spadła na wasze pola, i przykazałem ziemi, aby wam owoców nie rodziła, i odmówiłem swojego błogosławieństwa dziełom rąk waszych.“ Słowa te wykazują dostatecznie, jaką krzywdę wyrządza i Bogu i sobie samemu, kto zaniedbuje niedzielnej mszy św.

W końcu rozważmy sobie i to, że niema sprawiedliwości, ani porządku, ani spokoju w takim kraju, w którym razem ze święceniem niedzieli upadła religijność. Ona jest fundamentem tych najwyższych dóbr całej ludzkości. „Innego fundamentu nikt nie położy, oprócz tego, który położon jest: Chrystus Jezus“! (I. Kor. 3,11).

Książę żelazny.

Przypowieść.

Był raz zły książę, który nad niczem innem nie przemyśliwał i nie pracował, tylko nad tem, jakby wszystkie kraje świata zagarnąć i ujarzmić, tak, aby go się na ziemi wszyscy ludzie bali.

Ogniem i mieczem niszczył krainy, a żołnierze jego podpalali wieśniacze zagrody i sady, że aż owoce pieczone zwisały z czarnych, zwęglałych drzew. Z nagiemi niemowlętami na ręku, uciekały biedne matki z dymiących zgliszczów swoich chat, lecz żołnierze je ścigali, a schwytawszy, wywierali na nich swoją złość piekielną. Szatani nie mogliby się znęcać okrutniej. Książę twierdził jednak, że to jest prawem wojennem i że tak właśnie dziać się powinno.

Z dniem każdym rosła jego potęga, imię jego było postrachem wszystkich, a szczęście i powodzenie towarzyszyło mu we wszystkiem, co tylko przedsięwziął. Złupione miasta dostarczały bogactw jego siedzibie, gromadził tam broni i skarbów bez liku. Kazał budować zamki wspaniałe, twierdze i pomniki, a wszyscy, oglądając te budowy i skarby, wołali przejęci czcią:

— Co to za potężny książę!

Nie pomni nędzy i niedoli, jaką ściągnął na inne kraje i miasta, nie słyszeli łez i jęków, wznoszących się ze zgliszczów chat spalonych.

A książę obliczał swe skarby, oglądał zbrojownie i myślał podobnie jak ogół: Istotnie jestem książę żelazny! — Ale muszę mieć broni więcej, jeszcze więcej. Żadna władza niech się z moją porównać nie ośmieli, a cóż dopiero przewyższyć ją!

Napadał więc zbrojno swoich sąsiadów i zawojował wszystkich. Zwyciężonych królów kazał złotymi łańcuchami przykuwać do swego rydwanu i wodził ich po ulicach stolicy; a kiedy biesiadował, to królowie owi musieli jemu i jego dworzanom służyć u stołu i zadowalać się okruchami rzucanemi im jak na urągowisko.

W końcu kazał książę posągi własne stawiać na publicznych placach i gmachach, a jeden usiłował nawet na ołtarzu w kościele. Temu oparli się jednak kapłani, mówiąc:

— Książę, ty jesteś wielkim, ale Bóg jest większy, nie możemy usłuchać twojego rozkazu.

— A więc i Boga zwyciężę! — zawołał książę. Kazał tedy, pychą i zapamiętałością bluźnierczą wiedziony, zbudować kosztowny okręt napowietrzny, żeby się w nim aż do nieba przeprawić. Okręt był błyszczący jak pawi ogon, cały nasadzony połyskującymi oczyma — a każde oko było otworem lufy armatniej. Książę siedział u steru i potrzebował jeno nacisnąć sprężynę, aby kul tysiące gruchnęło na wszystkie strony, podczas gdy równocześnie wszystkie lufy na nowo były nabite.

Tysiąc orłów ciągnęło okręt, leciał też chyżością strzały ku słońcu

Hej! jaka ta ziemia mała na dole! Góry i lasy zdawały się jedną zoraną rolą, wkrótce majaczyły już jeno jak mapa wybladła, wreszcie obłoki przesłoniły ją zupełnie.

Coraz wyżej leciały orły, w górę ku niebu. Wtedy Bóg zesłał jednego z niezliczonych aniołów swoich. Książę żelazny zionął na niego tysiącem kul, ale te odbiły się jak grad od śnieżystych skrzydeł anioła. Jedna kropla krwi, jedyna, padła z piór białych na wojenny statek księcia, przebiła go na wylot, zaciężyła jakby tysiącem centnarów i rwała okręt szalonym pędem w dół; połamały się skrzydła orłów, wicher wył około głowy książęcej, a chmury utworzone z dymu pogorzelisk goniły za nim w groźnych, strasznych postaciach. Potwory jakieś wyciągały za nim szpony, to znów skały, miotające odłamy miażdżące, albo smoki ziejące ogniem.

Pół żywy leżał książę na pokładzie okrętu, który wreszcie z okropnym impetem spadł i uwiązł w ogromnych konarach stuletniego lasu.

— Zwyciężę Boga! — rzekł książę. — Powiedziałem i wola moja wykonać się musi.

Kazał więc teraz przez lat dwadzieścia, budować sztuczne okręty napowietrzne, kazał kuć groty z najhartowniejszej stali, chcąc nimi w niebieskie zastępy uderzyć. Ze wszech ziem swoich zgromadził wojsko, niezliczone jak piasek w morzu. Wojsko zajęło okręty; książę miał właśnie wsiadać do swojego, gdy w tem zesłał Bóg rój komarów. Ten obsiadł twarz księcia i ręce; wściekły, dobył miecza i opędzał się nim, machając wokoło; przecinał jednak tylko powietrze samo, a komary cięły go bezkarnie.

Kazał tedy służbie, aby go owinięto w grube, kosztowne dywany, w któreby się komary wcisnąć nie mogły i stało się jak rozkazał. Mimo to, jeden, jedyny komar zakradł się w zwoje dywanów, wlazł w ucho księcia i palił jak ogniem. Jad doszedł aż do mózgu. Wściekły, oszalały z bólu, zerwał z siebie osłonę, odrzucił daleko, poszarpał odzienie na szmaty i nagi rzucał się i ciskał w obecności swoich dzikich żołdaków, co się teraz z szalonego swego księcia naigrawać poczęli.... że upadł!...

Tak Boga, chcąc pokonać, zginął od komara...

Pierwsza Komunja w więzieniu.

Niektórzy rodzice wszelkich dokładają starań, aby dziecku dać jak najlepszą ogładę światową, z zupełnem pominięciem kształcenia jego duszy i serca. Pragnęliby, aby ono było mądrem, uczonem, aby ich chlubą było w przyszłości! Zapominają jednak, że tylko religja jest początkiem — jest źródłem wszelkiej mądrości! Zapominają, że dziecię, ucząc się w szkole katechizmu, zdobywa sobie pomału niewyczerpany skarb, z którego pr... całe życie moralne i materjalne dobro czerpać będzie. Moralne, bo w przysposobionej duszyczce i sercu dziecięcia prawdami św. Wiary, rozwijać się będą cnoty, dające mu imię zacnego człowieka. Materjalnie zaś, bo wszystko dobro ziemskie, nie mające podstawy w zacnym charakterze człowieka, który tylko religja zdolna jest wyrobić, podobne jest do bańki mydlanej, puszczonej przez nieroztropne dziecię.

Tylko człowiek prawdziwie moralny potrafi godnie i roztropnie wszelkich darów Bożych używać. Jak zaś ciężko już tu na ziemi są karani rodzice, którzy zaniedbują dzieci uczyć katechizmu, i do czego brak tej nauki człowieka doprowadza, przedstawiamy poniżej, w opisie rzeczywistym, przez niektóre gazety francuskie w 1879 roku opisywanym.

* * *

Czytając w gazetach, że młody zbrodniarz i morderca Henryk Billor, nie został ułaskawiony, jak się powszechnie spodziewano, lecz 11 maja 1879 o godz. 4 rano przez paryskiego kata p. Rosz stracony, mocno byłem zainteresowany, co było powodem nikczemnego życia, jakie ten młodzieniec prowadził; tembardziej, że jak donoszono, dzień śmierci był zarazem dniem pierwszej Komunji świętej.

Znając osobiście p. Rosz, kata paryskiego, poszedłem wieczorem do niego. Był zadumany, wzruszenie i smutek malowały się na jego twarzy. Obok siedział jeden z jego pomocników, o pięknych i energicznych rysach twarzy młodzieniec. Pomału nakierowałem rozmowę o Henryku Billoir i jego pierwszej Komunji św.

— Tak, tak, to dzisiejsze bezwyznaniowe wychowanie szkolne jest przyczyną jego śmierci, — rzekł, jakby sam do siebie p. Rosz.

— Czy nikt nie był obecnym przy ceremonji jego pierwszej Komunji św., — zapytałem.

— Przepraszam pana, ja i pan Rosz byliśmy — odpowiedział młodzieniec. — I zapewniam pana, ten chłopiec byłby aniołem, gdyby nie własny jego ojciec; cały jestem jeszcze wzruszony.

— Doprawdy?

— Tak panie, skoro spostrzegłem Henryka, klęczącego u stóp ołtarza, nie wiem, co się wtedy ze mną działo; przypomniałem sobie moją pierwszą Komunję św. Łza błysła w oku, płakałem, a potem szlochałem. Bo jakżeż nie płakać, gdy ci szczęśliwy rzuca się w objęcia.

— Ja także płakałem — dodał pan Rosz, i to mi trochę na sercu ulżyło! Religja — dodał — rozszerza nasze uczucia, serca większymi czyni inne zaś wzruszenia ścieśniają je, tak jak gdyby kleszczami ściskają to biedne serce ludzkie!

— Tak, to prawda — odpowiedzieliśmy.

— Widziałem — mówił pan Rosz — wielu zbrodniarzy, karanych śmiercią; mieli serce spełnić morderstwo; nie mieli go, gdy trzeba było umierać. Ogólnie mówiąc, ci umierają jak należy, którzy przedtem dobrze pojednali się z Bogiem.

— Nie mów mi pan o odwadze tych — mówił dalej, którzy bluźnią jeszcze wieczorem... a nazajutrz rano całują krucyfiks... przedewszystkiem, nie wierz pan ludziom „bez Boga". Ci nie mają odwagi.... wściekłość, szał, coś na kształt tego ich ogarnie. Ci już nie są ludźmi, lecz bydlem!

Czy nie zdarzyło się już, aby który z tych nieszczęśliwych przyjmował pierwszą Komunję św. w przeddzień swojej śmierci — zapytałem.

— Widziałem takiego panie — odpowiedział pan Rosz.

I zaczął opowiadać.

— Był to smukły chłopiec, bez brody i wąsów, z czarnem, miłe wrażenie wywierającem okiem. Był łagodnym i uprzejmym przynajmniej w wilję pierwszej swojej Komunji św., która była ostatnim jego dniem. Mówił, że szczęście znalazł w więzieniu. Dawniej był dzikim i ponurym.

— Zresztą opowiem panu jego życie, tak jak sam mi je opowiadał:

„Nie byłem stworzony na to — mówił — aby nędznie życie skończyć na szubienicy. Bóg obdarzył mnie tem wszystkiem,, czego potrzeba, ażeby zostać uczciwym człowiekiem.

Dlaczego jednak tu przyszedłem? Nie wiem,

albo raczej wiem doskonale. Słuchaj pan, w tej chwili odprawi ksiądz Mszę św. na moją intencję i przyjmę Komunję św. Tak panie, to będzie pierwsza moja Komunja św.

Cała tajemnica moich zbrodni mieści się w tem: nie byłem u pierwszej Komunji św. Och! historja to niedługa, uważaj pan.

Mój ojciec nie był złym człowiekiem, lecz zajęty polityką, stracił wiarę w Boga. Często mi mówił o rzeczach, których wcale nie rozumiałem. Przypominam sobie tylko, że nie chciał mię posłać do innej szkoły, jak tylko do świeckiej, publicznej szkoły. Mówił, iż o żadnej religji nie potrzebuje mieć wyobrażenia, nie potrzebuję znać jakiegokolwiek księdza.

Mając lat dwanaście, chciałem się uczyć katechizmu. Ojciec zabronił surowo dyrektorowi szkoły zapisać mię na listę studentów, uczących się katechizmu. Mówił, że to są głupstwa.

Pewnego dnia ksiądz katecheta przyszedł do szkoły chłopców. Było to w czwartek, w dzień wolny od nauki. Sługa Boży popatrzywszy chwilę na nas bawiących się, zaczął rozmawiać z moimi towarzyszami. Potem, zwracając do mnie łagodnie swój wzrok, rzekł:

— Ciebie, moje dziecko, nie znam jeszcze. Nie przychodzisz na katechizm?

— Nie, ojciec nie chce.

I z głupią zarozumiałością dodałem: ojciec powiedział, że to są głupstwa!

— Powiedz mi dziecko, czy twój ojciec był u pierwszej Komunji św.

— Mówi, że był, lecz dla chłopca to nie jest potrzebnem; mówi, że dosyć jest być uczciwym człowiekiem.

— Czy mogę się widzieć z twoim ojcem... i o której godzinie?

— Co dzień o ósmej wieczorem — odpowiedziałem.

Przypominam sobie te rozmowę — mówił więzień, bo wzruszyła mię bardzo i życzyłem sobie, aby mój ojciec zmienił postanowienie. Zapragnąłem wraz z moimi towarzyszami uczyć się katechizmu.

Przyszedłem do domu, opowiedziałem to matce; biedna nic nie odpowiedziała, nigdy ani jednem słowem nie sprzeciwiała się mojemu ojcu. Po chwili dopiero rzekła:

— Twój ojciec zrobi co zechce.

Przed ósmą serce biło mi gwałtownie: stałem przy oknie i spostrzegłem nadchodzącego księdza. Otworzyłem drzwi, pogłaskał mnie po twarzy, a matce opowiedział cel swego przybycia.

— Ojciec zrobi jak mu się podoba, tak jak zawsze — odpowiedziała.

Wreszcie przyszedł mój ojciec; zamknął się z księdzem w moim pokoju.

— Domyślasz się pan zapewnie, że przyłożywszy ucho do dziurki od klucza, słyszałem wszystko.

— Dla czego pan nie pozwalasz temu dziecku przystąpić do pierwszej Komunji św.? Jest bystry i roztropny chłopiec, i zdaje mi się, nadzwyczaj chętny do zabawy. Pozwalając mu rosnąć bez religji, bez miłości Boga i poznania swoich powinności, bez hamulca przed wrodzonemi namiętnościami, pracujesz pan na jego zgubę.

Mój ojciec potrafił mówić znakomicie, lecz w tej sprawie powtarzał tylko to, co do mnie mówił; stanowczo więc odmówił spełnić życzeń księdza.

Słysząc to kapłan, powstał, a wychodząc jakoby na pożegnanie dodał słowa, którą dotąd brzmią w mojej duszy głosem rozdzierającym mi serce:

— Pozwól pan, słówko jeszcze jedno powiem, tem postanowieniem swojem pokazałeś pan, że jesteś najstraszniejszym nieprzyjacielem szczęścia swego własnego dziecka. Pewnego dnia będziesz pan nieszczęśliwym przez niego, lecz pańska to wina.

I poszedł smutny, lecz azwsze dobry dla mnie, bo znowu pogłaskał mnie po twarzy.

Opowiedziałem to panu ze wszystkiemi szczegółami, bo jak sam pan widzisz, to było punktem wyjścia na całą drogę mego życia.

Od tego dnia, szydziłem z najlepszych kolegów; moje zachcianki były dla mnie prawem, nikogo nie uszanowałem.

Trzy lata później opuściłem dom rodziców. Złączyłem się z bandą łobuzów, z których żaden nie szanował jeden drugiego. Żyliśmy z małych kradzieży a noce spędzaliśmy po za miastem w jednej rozpoczętej budowli, lub nawet w opuszczonych ruderach.

Nie powiem panu szczegółów naszego łotrowskiego życia.

W siedmnastym roku zostałem aresztowany bez żadnych ceregielów odesłała mnie policja do domu poprawy, gdzie mogłem nauczyć się rzemiosła i pędzić życie spokojne, gdybym się już nie był przyzwyczaił do zbrodni.

Tam zrobiłem znajomość z dwoma przyjaciółmi gorszymi aniżeli ja łotrami. Pomimo ścisłego dozoru uciekliśmy. Dwa lata temu. Miałem naówczas 19 lat

Od tego czasu żyłem z kradzieży i łupieżstwa. A ponieważ prowadziłem to rzemiosło codziennie, w ostatniej wyprawie właściciel, któremu nożem cios zadałem, zdołał jeszcze wykrzyknąć o pomoc! Byłem krwią zbryzgany wzięto mnie. Skazano mnie na śmierć; dobrze zrobiono, już sto razy zasłużyłem na nią. Dziwi cię to panie, nieprawda?

— Tak w istocie — odpowiedziałem — rzadko kiedy skazani uznają się winnymi. Potem opowiadał:

Mówiłbym może tak, jak inni, gdyby więzienie nie przekształciło mnie. Wchodząc do niego, byłem wściekłym i skończonym łotrem, złościłem się, wymyślałem, bluźniłem, przeklinałem Boga i ludzi. — Otworzono drzwi i czcigodny kapłan wszedł. Zdawało mi się, że widzę tego samego księdza, który mię chciał przysposobić do pierwszej Komunji świętej.

— Mój przyjacielu, rzekł łagodnym głosem, jesteś chrześcijaninem, i zapewne przystępowałeś do pierwszej Komunji św.

— Przepraszam mój ojcze, przerwałem, czy można ją w więzieniu przyjąć?

Na zgodną jego odpowiedź, otrzymałem katechizm. Och, co za piękna książka! panie, co za cudne modlitwy!... Och, gdybym był znał to wszystko!...

I jak dobrego serca jest ten jałmużnik. Patrz pan na krucyfiks w mojej celi. Zdaje mi się, że sam jeden tutaj posiadam wizerunek naszego ukrzyżowanego Boga! Och szkoda, że ten znak poświęcenia nie znajduje się wszędzie!

Widzisz pan, najmniejszej nie czuję nienawiści do niego. Nie przeklinam mego ojca a nawet z przyjemnością myślę, że przyjdzie czas, iż porzuci to bezbożne życie i gorąco proszę za nim Boga! Ale otóż i czcigodny nasz kapelan nadchodzi. Jeszcze słówko z nim pomówię i potem ujrzysz mnie pan przystępującego do Stołu Pańskiego.

— Chłopiec skończył historję swego życia; nie znałem jednakże szczegółów, które ukrył przedemną

Główny klucznik, noszący mu zupę, opowiedział mi je potem; były one wyrazem pięknego charakteru biednego więźnia: w piątek nie przyjmował żadnych

pokarmów, mówiąc: wstydzę się, iż dotychczas nic jeszcze nie cierpiałem dla Boga, który umarł za mnie.

Pragnął komunikować w dzień swojej śmierci. Wszyscy byliśmy obecni na Mszy św. Przez cały czas Przenajświętszej Ofiary klęczał. Przyjął Komunję św., płakaliśmy. Modlił się gorąco. Wreszcie zmuszony byłem szepnąć mu, że czas jest przyjąć jaki posiłek. Czcigodny kapłan kazał mu przynieść śniadanie. Jadł z apetetytem; był szczęśliwy, prawie wesół.

Serdeczne współczucie okazywali mu strażnicy. Spostrzegł, że łzy ukradkiem ocierali.

Nie płaczcie nad takim nędznikiem jak ja! Uspokójcie się; jeżeli Bóg, tak jak marnotrawnemu synowi, przebaczy mi, i weźmie mnie do swego królestwa, modlić się będę o was.

— Tymczasem — rzekł zwracając się do nas wszystkich tu obecnych błagam o jedno „Zdrowaś Marja" za duszę mordercy! — I codziennie modlę się za jego duszę. Na progu więzienia rzekł mi to, czego nigdy jeszcze z ust więźniów nie słyszałem.

— To nie jest tak strasznym panie, umierać w dwudziestym pierwszym roku, jeżeli śmierć przyjmuje się jako zadośćuczynienie za popełnione zbrodnie!

— Co tylko było w możności kapelana, robił, aby mu wyjednać ułaskawienie. Wszystko było bezskutecznem. Towarzyszył mu aż do ostatniej chwili; po kilka razy go ucałował.

To opowiadanie sprowadziło zadumę na nasze czoła. Wzruszeni, pożegnaliśmy gospodarza. Całą noc oka zmrużyć nie mogłem; historja nieszczęśliwego chłopca głęboko utkwiła w mej pamięci. Tak myślałem sobie. bezreligijne wychowanie dzieci gdzie nie uczą dziatek katechizmu, albo w niewłaściwy sposób, w niezrozumiałym języku, — oto przyczyny pchające ludzkość na drogę zbrodni i wiecznej śmierci. Co to będzie, jeżeli tak dalej potrwa? Ale nie! Bóg jest dobry! nie dopuści zatracenia tylu dusz ludzkich! i zmieni się na lepsze. Lecz od rodziców żąda, aby wychowali religijnie swoje dzieci!

Górnik zasypany.

(Legenda.)

Ród Kasperczyków od niepamiętnych czasów uprawiał górnictwo; kilof i lampa z ojca na syna przechodziły, a także cnoty górnicze, do których przedewszystkiem należą gorąca wiara i osobliwa cześć dla świętych Barbary i Antoniego. Wzrastali Kasperczykowie w bojaźni Bożej, miłości ludzkiej, kochali serdecznie prastarą Wieliczkę, z której czerpali sól dla świata i chleb dla siebie. Bóg łaską ich obdarzał nieraz widocznie, doświadczył jej także Jakób Kasperczyk. Jakóba, stary ojciec nazwyczajał do kilofa i tradycje górnicze opowiadał, w które każdy górnik wierzy jak w pacierz.

— Pamiętaj synu — przestrzegał stary — że Skarbnicy, to opiekunowie wszystkich kruszców w ziemi polskiej. Boże broń ich rozgniewać. Często taki Skarbnik, w kurcie górniczej, przychodzi do szybu, żeby znużonych robotników wyręczyć. Dobrze przyjęty, łupie za trzech i za trzech zwozi, odkrywa żyły najobfitsze i wycina najprostszą drogę z szybu do szybu. Źle przyjęty mści się srodze.

Innym razem nauczał znowu stary:

— Chciwości się strzeż, synu, jak ognia. Dam ci przykład, do czego ona prowadzi. Wiadomo, że w lesie tenczyńskim, pod górą zamkową, są ukryte skarby i broń, w lochach, zwanych „Ucieczką", które prowadzą do kościoła w Tenczynku. Na owe skarby połakomili się kiedyś górnicy. Odkopali w lochach gruzy, spuścili się do sklepionej pieczary, gdzie znaleźli stół marmurowy, na nim krzyż żelazny, parę pistoletów skrzyżowanych i trzy gwoździe. Jeden z nich spuścił się do niej i aż osłupiał z podziwu. Pieczara pełna była djamentów, rubinów, srebra i złota. Chciwiec nic pochwycić nie mógł, bo siła niewidzialna odpychała jego ręce. Gdy z nią walczył, zapiał trzykrotnie kur, a wraz z tem stanęły przed nim dwie postacie, w zbrojach husarzy, okryte skórami lamparciemi i pochwyciwszy go hakiem djamentowym, chciały przybić do ściany.

— Ratuj święta Barbaro! — krzyknął nieszczęśliwy.

To wezwanie go ocaliło: wydostał się na ziemię, lecz niespełna zmysłów.

Jakób wyrósł na człowieka prawego i pracowitego. Chwalił Boga, uczył swoje dzieci, jak należy żyć na świecie. Codzień, spuszczając się do szybu, połowę swego chleba oddawał nędzarzom.

Pewnego razu szyb, w którym pracował, zawalił się. Wszyscy górnicy zdołali się uratować, tylko Jakób został pod gruzami soli, ziemi i belek. W pierwszej chwili, od uderzenia wielkiej bryły stracił przytomność, lecz przyszedłszy do siebie, przekonał się, że szwanku nie poniósł. Cóż mu jednak z życia? O wydostaniu się na świat ani myśleć, zginie z głodu, otoczony grobową ciemnością, a i lampkę wśród gruzów zawalonego szybu postradał. Zapłakał rzewnie, a boleść go zdjęła tem większa, gdy sobie żonę i dzieci przypomniał. Więc ukląkł, ręce złożył i modlić się zaczął gorąco.

Naraz w głębi szybu spostrzega drgające światełka, jedno, drugie, dziesiąte, setne... Światełka zbliżały się do niego powoli, snuły się w porządku, on przeżegnał się, czapkę zdjął i czekał.

Dziwny to był pochód. Sunęły się postacie ruchome, ale nieme, jakby ożywione posągi z soli, w czarnych zbrojach górniczych, które przy blaskach lamp i pochodni lśniły tysiącem barw, promieniały niby klejnoty. Pośrodku orszaku kroczyła postać ukoronowana mitrą złotą, w kwiaty solne zdobną, w płaszczu przeźroczystym, a przed nią niesiono, przy oszczepie z kości słoniowej, chorągiew płomienną. Król salin, wspierając się na toporku złotym, zbliżył się do osłupiałego górnika, lampkę mu swoją podał i ręką nakazawszy milczenie, zniknął wraz z orszakiem w głębi szybu.

Jakób miał światło, przy którym odnalazł kilof. Nadzieja ocalenia zabłysła, z zapałem zaczął pracować nad usunięciem gruzów. Pracował długo, pot kroplisty skronie mu zlewał, w piersiach tchu brakowało wreszcie wyczerpany, zgłodniały upadł na ziemię.

— Śmierć mi tu, nie podołam! — szepnął.

Po chwili zwlókł się na kolana i znów modlić się zaczął, duszę Bogu polecał, aż oto roztoczyły się przed nim blaski, a wśród nich ukazał się Pan Jezus z chlebem w ręku.

— Posilaj się i żyj, jak żyją biedni, którzy owoce twego miłosierdzia pożywają — rzekł Jezus, podając chleb górnikowi. — Wierzysz, czyniłeś dobrze, łaski dostąpisz i nie zginiesz.

Przez siedm dni spożywał chleb Pana Jezusa, siedm dni bez przestanku gruzy rozwalał, wkońcu wydostał się z więzienia.

Takie piękne tradycje przechowują się w salinach Wieliczki i krzepią serca ludzi, schodzących codziennie do pracy ciężkiej w podziemia.